DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I. — Poznań 20 września, 1888 r. — Nr. 27.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski“ w expedycyi, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w expedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko expedycya, lub redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

WILLA ERLACH.

Powieść przez **Ossipa Schubina.**

Z języka niemieckiego tłomaczyła **A. P.**

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XXXI.

Bilard stoi w bibliotece, długim, wązkim pokoju, z oszklonemi wzdłuż ścian szafami, pełnemi dosyć cennych, literackich zabytków. W dużej, żelaznej klatce, zawieszonej między oknami, kołysze się szara papuga z czerwonemi piórkami na głowie, wrzeszcząc bezustannie: „Nie kradnij, złodzieju!“ Południowe słońce odbija się w dużych szybach, w pokoju błąkają się obłoczki niebieskawego, wonnego dymu, zresztą bardzo przyjemna atmosfera, która korzystnie wpływa na usposobienie obecnych.

Obadwaj panowie grają doskonale, Edgar tylko wyszedł trochę z wprawy. Oparty na kiju, podziwia właśnie śmiały rzut kuli swego przeciwnika, kiedy wbiega Freddy, rzucając się z płaczem w objęcia ojca:

— Coż się stało — co ci jest, chłopcze? zapytuje dobrodusznie, gładząc zarumienioną twarzyczkę jedynaka.

— Ten... ten... ten Franek, zaczyna, jąkając się, ale gwałtowne łkanie przerywa te niedokładne objaśnienia.

Katty, zwabiona rozpaczliwemi jękami Fredzia, przybiega w tej chwili. Zastaje rotmistrza, siedzącego w dużym, skórą obitym fotelu, jak, trzymając chłopca za obiedwie rączki, usiłuje napróżno zbadać przyczynę tego gwałtownego szlochania. Obok stoi Rohritz, zajęty gatunkowaniem kul bilardowych, spoglądając na pół z uśmiechem, na pół litośnie na tę scenę; szara papuga napróżno usiłuje wyrwać żelazne prątki swej klatki, krzycząc przytem głośniej od Fredzia.

— Coż to — czy się chłopcu co złego stało? woła, nie tając bynajmniej niepokoju.

— Bo... bo... bo, odpowiada malec z boleśnie wykrzywionemi usteczkami, paluszkami przyciskając zapłakane oczki; bo... ten... ten Franek!

Franek jest drugim numerem stangreta, a przytem osobistym przyjacielem Fredzia.

— Franek jest osioł! odzywa się rotmistrz, wpadłszy na ślad biegu myśli synka, i źle robi, że cię straszy!

— Co ci opowiadał? pyta Katty, przystępując nagle. Czem cię wystraszył? Czy ośmielił się znowu opowiadać ci o duchach pokutujących? a przecież mu surowo tego zakazałam.

— Ach! nie, odparł rotmistrz, wyręczając chłopca; chodzi tu o drobnostkę, której nawet powtarzać nie warto, o głupstwo.

— Pomimo to, chciałabym się dowiedzieć o tem głupstwie, odpowiada z coraz większym niepokojem.

— Opo... opowiadał mi, że tatko będzie się pojedynkował, a kto się pojedynkuje... tego... zastrzelą, woła zrozpaczony Freddy, rzucając się w objęcia ojca, dręczony śmiertelną obawą.

— Prosiłabym bardzo o wyjaśnienie całej tej niezrozumiałej dla mnie historyi, prosi Katty, blednąc nagle, a serce biednej kobiety ściska się dziwnie niewymownym bólem.

— Doprawdy, że to nawet niemądra, śmieszna sprawa, szepce rotmistrz, gładząc brodę.

— Opowiem ją w krótkich słowach, łaskawa pani, odzywa się Rohritz z powagą. Jan podczas swojej ostatniej bytności w Hradniku, a było to przedwczoraj, wymierzył sprawiedliwość pewnemu głupcowi i uderzył go w twarz. Z tego powodu pozostał wczoraj cały dzień w domu, ażeby odczekać wyzwania obrażonego zarozumialca, ale naturalnie, że go nie otrzymał. Podług mnie, powinien był żądać od tego pana piśmiennego pokwitowania z odebranego policzka!

— Szkoda, że mi to na myśl nie przyszło, właściwie powinieniem był to zrobić.

Fredy uspokoił się powoli. Twarzyczka jego straciła już poprzedni rozpaczliwy wyraz, ale za to znać na niej inne, niemniej widoczne ślady przebytego cierpienia. Atrament z powalanych paluszków przeniósł się w części na zapłakaną buzię, a rozcieńczony gorącemi łzami, pozostawił zabawne tatuowanie. Katty całuje go z uśmiechem i odsyła do czystej wody i ręcznika.

— Czy można wiedzieć, zapytuje po odejściu chłopca, czem to indywiduum podobną karę na siebie ściągnęło?

— Nie opłaci się nawet mówić o tem, odparł rotmistrz nieśmiało. Zirytujesz się zupełnie niepotrzebnie tylko.

— Popełniasz niesłuszność, ukrywając prawdę, wtrąca się Rohritz po raz drugi do rozmowy. Głupiec ten poważył się zrobić jakąś niestosowną uwagę, tyczącą się łaskawej pani, dodaje, zwracając się do pani Leskjewitz.

— O mnie więc chodziło, woła Katty z pogardliwem wykrzywieniem małych ustek. Coż on mógł o mnie powiedzieć?

— Co? powtarza rotmistrz zamyślony — opowiem ci kiedy w cztery oczy, jeżeli koniecznie chcesz wiedzieć. Głupstwo niewiele co warte, ale pomimo to wziąłem je sobie do serca.

— Szaleńcze, zaśmiała się Katty wesoło.

Rohritz ma zamiar wysunąć się niepostrzeżenie, chcąc, aby to pojednawcze *tête à tête* mogło wreszcie przyjść do skutku, kiedy wchodzi służący z oznajmieniem, że sanki już zajechały.

— Gdzie się wybierasz? zapytuje pani Leskjewitz po odejściu służącego nagle zmienionym, ostrym głosem.

— Chciałem zawieść „słomianej wdówce“ *Maître de forges*, o którego mnie wczoraj prosiła. Jeżeli jednak sobie życzysz, to chętnie pozostanę w domu.

— Jeżeli sobie życzę? odpowiada lodowatym głosem. Nigdy mi nawet przez myśl nie przeszło pozbywać cię twoich niewinnych rozrywek.

— Tak, sądziłem jednak, że może... Zdawało mi się czasami, że jesteś o słomianą wdówkę zazdrosna.

Rohritz zarumienił się z gniewu, słysząc to niezręczne odezwanie się przyjaciela; twarzyczka Katty przybiera ironiczno pogardliwy wyraz.

— Ja zazdrosną? mówi zimnym, kłójącym głosem, wzruszając obojętnie ramionami. Przeciwnie, jestem bardzo zadowolona, jeżeli inna jaka kobieta oszczędzi mi trudu rozmowy i uwolni od męczącej obecności twojej.

Nie można się dziwić, jeżeli podobne słowa, przez żonę wymówione wobec świadka, nie przypadły do gustu wrażliwej, sercowej naturze Jana Leskjewitza.

— Do widzenia, Edgarze, mówi do przyjaciela, a żegnając żonę lekkim tylko ukłonem, szybko wybiega z pokoju.

Przez chwilę zdawałoby się, że Katty chce iść za nim i nakłonić do powrotu, biegnie do drzwi, jeszcze się waha, a po chwili jest już zapóźno, bo odgłos dzwonków odjeżdżających sanek dochodzi wyraźnie do pokoju. Szybko podchodzi do okna i widzi męża, siedzącego na sankach, pędzących z szaloną szybkością i w tej samej chwili tuman śniegu tworzy między patrzącą a odjeżdżającym gęstą, lodową zasłonę.

Na obiad są ulubione potrawy rotmistrza, bażant z kapustą, ale oznaczona szósta godzina minęła, a jego jeszcze z powrotem nie ma.

— Nie wiem, dla czego się Jan dzisiaj opóźnia, zapytuje pani domu Rohritza, przerywając dosyć długie milczenie.

Czekają godzinę, dwie, nareszcie Katty każe obiad podawać, siedząc sama w milczeniu nad próżnym talerzem.

Obiad skończył się nareszcie, wypito czarną kawę i Fredy zaspany odszedł do swego pokoju, przegrawszy wprzód z nauczycielem kilka partyi młynka.

Katty i Rohritz, zostawszy sam na sam, starają się przybrać zwykłe, zupełnie, swobodne obejście, ale kwadranse upływają, a żadne z nich nie może się zdobyć na jakiekolwiek pytanie, lub odpowiedź. Nareszcie Katty pierwsza przerwała milczenie.

— Czy słyszysz, baronie, jaka burza szaleje? mówi zachrypłym głosem, otwierając podwójne okno i wyglądając lufcikiem. A przytem taki śnieg pada, jak gdyby się była poduszka z pierzem rozsypała.

Tragiczny wyraz twarzy mówiącej tworzy komiczny kontrast z powyższem porównaniem, ale pomimo to Rohritz wcale nie ma ochoty do śmiechu.

— Czy słyszysz pan, jak wiatr ponuro jęczy? Mam nadzieję, że Jan nie dostał się w jedną z tych zasp, które śnieg potworzył na drodze.

Rohritz odpowiada coś uspokajającego, Katty jednak nie zwraca na jego słowa uwagi, chodząc po pokoju z widocznem wzruszeniem na pobladłej twarzy.

— Najgorszy kawałek do przebycia jest około kamiennych łomów, szepce, jakby do siebie. Najmniejsze zboczenie o kalectwo przyprawić go może.

— Jan doskonale się oryentuje i znakomicie powozi, odpowiada Rohritz, chcąc ją uspokoić. Ona milczy, silniej tylko zaciskając usta. Otwiera okno i spoglądając na śnieżną zawieję, nadsłuchuje wycia wiatru, który, wstrząsając konarami lipy, wydaje bolesne, ponure jęczenie.

Mój Boże, ileż wybacza kobieta człowiekowi, o którego jest w obawie.

— Możeby... było lepiej posłać kogo naprzeciwko, wyjąkała nieśmiało. Mam jakieś dziwne przeczucie.

Już sięga po taśmę od dzwonka, kiedy zdala dolatują ją słabe jakieś dźwięki, niby szyderczy śmieszek leśnych chochlików. Katty, wstrzymując oddech, nadsłuchuje uważnie. Tak, to sanki jakieś, które się w tej chwili przed tarasem zatrzymały, dochodzi ją odgłos męzkich kroków, otrząsanie śniegu z zabrudzonych butów, słyszy świeży, donośny głos Rotmistrza i Rohritza na przemiany. Śmiertelna obawa, która przedtem jej serce ściskała, ustępuje teraz przykremu, gorzkiemu uczuciu. Nie może dosyć samej siebie wyśmiać i wyszydzić z powodu tej dziecinnej obawy, nie może sobie darować tej chwilowej słabości, jaką wobec Rohritza okazała. Jak ona mogła wystawiać sobie męża poranionego, leżącego bez zmysłów w jakiej śnieżnej zaspie, podczas kiedy on bawił się doskonale w towarzystwie ponętnej „słomianej wdówki.“

Drzwi otwierają się i ukazuje się w nich wysoka postać Leskjewitza.

— Nie śpisz jeszcze, Katty? mówi miękkim, przyciszonym głosem, zbliżając się do żony.

— Rohritz mówił mi, ciągnie dalej ze słabym, jakby niepewnym uśmiechem, że obawiałaś się o mnie. Przy tych słowach wyciąga rękę, chcąc ująć dłoń żony, ale Katty cofa się szybko.

— Rohritz skomponował, mówi oschle Przez chwilę tylko zdawało mi się, że może miałeś jaki wypadek około łomów kamiennych, bo nie mogłam sobie inaczej twego opóźnienia wytłomaczyć. Ale żebym się obawiać miała? dodaje wzruszając obojętnie ramionami.

Na twarzy Leskjewitza błąka się gorzki uśmiech; zamyślony pociera ręką czoło.

— Tak, fantazyował oczywiście, próbował zbliżyć nas do siebie, szepnął po chwili. Romantyczne to opowiadanie wydało mi się zrazu niepodobnem, ale temu, w coby się chętnie uwierzyć chciało, daje się łatwo wiarę! Byłem szalonym głupcem, ciesząc się na serdeczne z twej strony powitanie. Naprawdę, że w porównaniu z doznanem od ciebie przyjęciem jest nawet znośną ta śnieżna zawieja na dworze.

Przy tych słowach siada na małym fotelu, jak na koniu, uderzając palcami o drewnianą poręcz krzesła w takt jakiejś wojskowej piosenki.

— Sądzę, że byłby czas iść spać, odzywa się Katty, biorąc srebrny lichtarz, stojący na kominku, jest już kwadrans na jedenastą.

Ale rotmistrz gwałtownie prawie ujmuje jej rękę:

— Zostań! mówi szorstkim, rozkazującym głosem.

— Wróciłeś w bardzo złym humorze, zauważyła Katty z szyderczym uśmiechem. „Słomiana wdówka“ nie musiała być tak uprzejmą, jak zwykle, chociaż spóźnienie twoje kazało się spodziewać zupełnie czegoś innego.

Rotmistrz patrzy z uwagą na żonę. Mój Boże, czyliż obchodzi ją o tyle, że jest zazdrosną o niego?

— Nie byłem u „słomianej wdowy,“ odparł po chwili.

— To znaczy, że nie zastałeś jej w domu, to smutne w rzeczy samej.

— Nie byłem nawet w Glockensteinie.

— Doprawdy, myślałam.

— Miałem początkowo ten zamiar, odpowiada wyzy-

wająco. Mianowicie, kiedy na odjezdnem usłyszałem wobec świadka tyle stosownych i przyjemnych uwag od ciebie! Zaciąłem konie, chcąc się jak najprędzej do niej dostać, bo wiedz, że kiedy duchy dobre opuszczą człowieka, to znajdą się zaraz złe na ich miejscu, gotowe w swych objęciach utulić błądzącego szaleńca. Słomiana wdowa byłaby mnie przyjęła z otwartemi rękoma, dla niej jestem więcej znaczącą osobistością, pół bohaterem nieledwie; cóż chcesz, jest ograniczona, ale młoda i ładna, a takiemu biedakowi, który wie, że w domu swej uczonej żony zawadza tylko — i to najzupełniej wystarcza.

— Doprawdy, szydzi Katty. Proszę cię jednakże, aby opowiadanie twoje było nadal mniej rozwlekłe, bo lampa się ciemno palić zaczyna.

— Na to, co mam zamiar powiedzieć, pali się jeszcze dość jasno. Zaciąłem więc konie, spiesząc do niej, Glockenstein leżał już prawie przede mną, ale w ostatniej chwili przyszły mi rozmaite myśli do głowy, zmieniłem poprzednie zamiary i pojechałem do Ritzberga, chcąc z nim zakończyć układy, kupna drzewa się tyczące.

— Interes ten jednakże dosyć długo cię poza domem zatrzymał.

— Zostałem u Ritzberga na kolacyi, następnie grałem z nim w taroka. Nie potrzebowałem przecież spieszyć się do domu, wiedząc, że dłuższa moja nieobecność nikomu na myśl nie przyjdzie.

— Hm! jeżeli jednakże wszystkie powody już dostatecznie objaśniłeś, to może pozwolisz, że spać pójdę? odzywa się Katty, zabierając się do odejścia.

— Zdaje się, że mi nie wierzysz? zapytuje ją Jan drżącym od gniewu głosem, a jednak wiesz, że kłamstwo nigdy nie cechowało mego charakteru.

— Zapewne, ale, mówi, wzruszając ramionami, żaden mężczyzna nie robi sobie skrupułów, improwizując trochę, szczególniej, kiedy chodzi o kobietę. Dziwi mnie tylko, że sobie tyle trudów w objaśnianiu mnie zadajesz, mnie, dla której jest to tak obojętnem. Czy mogę odejść teraz? dodaje, biorąc lichtarz po raz drugi. Skończyłeś przecież.

— Nie! woła gwałtownie. Nie skończyłem i musisz mnie wysłuchać do końca! Jest gorzej, niż sądzisz; pożycie nasze jest mocno zachwiane, a wiesz, jaki obrót wzięło w przyszłości u mojej siostry Karoliny. Otoż powiem ci, że jesteś na najlepszej drodze wtrącenia mnie w tę przepaść, w jaką Franciszka Meinecka jego żona wepchnęła.

— Porównanie siostry twojej ze mną wydaje mi się trochę za śmiałe, odparła pani Leskjewitz. Wiem, że ci nie będzie przyjemnie usłyszeć krytykę twych krewnych, pomimo, że sam wiesz o ich wadach i słabościach, ale tym razem muszę wystąpić we własnej obronie. Siostra twoja zaniedbywała nietylko gospodarstwo, ale i dzieci, o które się nigdy nie troszczyła, rzucając się w objęcia śmiesznej, przesadnej ambicyi, podczas kiedy ja....

Dziwny jakiś wyraz na twarzy rotmistrza wstrzymuje potok jej wymowy.

— Podczas kiedy ty, mówi, podejmując opowiadanie żony, wiem — co chcesz powiedzieć! Gospodarstwo twoje i dom jest dobrze utrzymany, jesteś wzorową matką, a porządek twój prawie z pedanteryą graniczy. Jednem słowem, byłabyś urzeczywistniła moje marzenia, gdybyś kiedykolwiek choć odrobinę serca względem mnie była okazała.

— Spełniałam przecież zawsze swój względem ciebie obowiązek.

— Tak, ale nic nadto, tylko o b o w i ą z e k!

— Nie mogłeś się niczego więcej ode mnie spodziewać! Pamiętasz przecież, że przy ślubie stanęła między nami umowa, że się zwykłem, rozsądnem, przyjacielskiem uczuciem zadowalać będziemy.

— Prawda, masz słuszność, odpowiada gorzko, rzucając na żonę długie, badawcze spojrzenie. Smutno jest, że o tem zapomnieć mogłem.

— Nie pojmuję, że.... mogę powiedzieć, że nie zauważyłam nigdy, żebyś ty....

— Tak, nie zauważyłaś, że z mojej strony rozsądna przyjaźń innemu ustąpiła uczuciu? Doprawdy! kobiety są dziwnie ślepe, jeżeli nie chcą widzieć! Czy myślisz, że byłbym dla ciebie tak uległym, że poświęciłbym swój zawód i swoję przyszłość, że pozwoliłbym sobie prawie odebrać własne dziecko, gdybym cię nie był kochał szaloną, młodzieńczą prawie miłością! A teraz możesz mną raz jeszcze tyle za to wyznanie pogardzać, a jeżeli kiedy potknę się i utonę w jakiem bagnie, jeżeli skończę, jak Franciszek Meineck, to będziesz miała przynajmniej tę pociechę, żeś w własnem swem mniemaniu zawsze względem mnie spełniała swój obowiązek.

To mówiąc, wyszedł z pokoju, żegnając żonę głębokim ukłonem.

ROZDZIAŁ XXXII.

„A jeżeli kiedy potknę się i utonę w jakiem bagnie, jeżeli skończę, jak Franciszek Meineck, będziesz miała przynajmniej tę pociechę, żeś w własnem swem mniemaniu zawsze względem mnie spełniała swój obowiązek.“

Dziwna rzecz, jak głębokie na Katty powyższe słowa wywarły wrażenie. Ma je ciągle w myśli i na ustach, nie mogąc spać tej nocy, która po ostatniej rozmowie z mężem nastąpiła. Niespokojnie przewraca się na łóżku, a wązki, blady promień księżyca, przeciskający się przez szpary okiennicy, wydaje jej się jakimś nienaturalnej wielkości palcem, wskazującym na nią i wydającym potępiający wyrok. Mały zegar, stojący na biurku, wydzwania godzinę dwunastą, oznajmiając, że szósty styczeń minął, a zaczął się siódmy, a siódmy styczeń jest rocznicą jej zaślubin. Dziewięć lat minęło, kiedy w tym dniu właśnie włożyła białą suknię oblubienicy, bez cienia miłości dla narzeczonego, ale za to z gniewnem wspomnieniem o doznanem upokorzeniu ze strony innego. W myśli porównywała tę białą suknię ze śmiertelnym całunem, a sama była w tym dniu tak zimna, tak strasznie blada, że osoby, które jej do tej ślubnej uroczystości przybrać się pomagały, twierdziły, iż zdawało im się, że z trupem, a nie z żywą istotą mają do czynienia. To samo wrażenie odnieśli i zaproszeni goście; mówili jednozgodnie, że na żadnym pogrzebie nie mogło być smutniej, jak na weselu Katty Leskjewitz.

Poznała ona dzisiajszego swego męża w domu swego ojca, barona Rińsky'ego, w Morawii, gdzie Jan Leskjewitz, jako oficer, miał wyznaczoną kwaterę. Wesołem swem usposobieniem zjednał sobie wkrótce starego zreumatyzmowanego barona, a Katty obecność jego dosyć znośną znajdowała. Polubiła go nawet z czasem, bo Jan Leskjewitz, którego obejściu nic było nic do zarzucenia, nie prawił jej nigdy komplimentów, co u niego wysoko cenić umiała. Serce jej bowiem, niewleczone jeszcze z rozczarowania i zawodu, jakich przed czterema laty, bawiąc u ciotki przez zimę w Peszcie, doznała, nie znosiło wszelkich nadskakiwań, wzbudzały w niej one wstręt i odrazę. Kiedy prosił później o jej rękę, uczynił to w tak dziwnie obojętny sposób, że z samego zdumienia nie mogła się w pierwszej chwili zdobyć na przeczącą odpowiedź.

Zresztą potrzebowała namysłu. Przykry stosunek z młodą macochą, która mężem rządziła, nie pozwalał odmówić majętnemu, ze wszech miar godnemu szacunku człowiekowi. Gdyby jej się był oświadczył w namiętnych, gorących, pełnych miłości wyrazach, byłaby mu stanowczo: „nie!“ odpowiedziała, ale on tego nie uczynił właśnie.

Kiedy mu wyznała, że doznane rozczarowanie zniszczyło u niej wszelki zasob uczucia na zawsze, że na miłość zdobyć się nie jest zdolna, odpowiedział z największym spokojem, że i on prócz przyjaźni nic więcej ofiarować jej nie może.

— Ci, z moich znajomych, którzy się z miłości pobrali, nie zawsze z sobą szczęśliwie żyli, sprobujmy więc innego sposobu, odpowiedział na jej wyznanie z uśmiechem. Zaręczyli się więc ze sobą bez odrobiny miłości w sercu pewnego dżdżystego jesiennego wieczora, więc nawet obu-

marła przyroda pięknością i urokiem, ani wesołe ptasząt śpiewy nie mogły rozbudzić na nowo zastygłego w ich sercach uczucia.

W sześć tygodni później byli już po ślubie, odbywając zwykłą, jakby przymusową podróż poślubną do Rzymu; mieszkając z kolei w rozmaitych hotelach, zwiedzając najróżnorodniejsze muzea i galerye.

Podczas kiedy te chwile kolejno stawały jej w pamięci, blady promień księżyca świecił jeszcze ciągle na ścianie, a srebrne jego światło padało na przeszłość Katty, i rozjaśniało w jej umyśle niejedno, na co podczas swego dziewięcioletniego małżeńskiego pożycia żadnej nie zwracała uwagi.

Ona nie wniosła mu żadnego posagu, nic, oprócz skromnej wyprawy, więc cały komfort, jakim była otoczona, pochodził od niego. Jednakże okazanie mu za to jakiejkolwiek wdzięczności, choćby w kilku słowach serdecznej podzięki, wydawało jej się poniżeniem siebie, bo przecież niejednokrotnie zauważyć musiała tę jego w postępowaniu z nią delikatność, te starania, któremi chciał usunąć z jej życia najmniejszy cierń przykrości. A czynił to z takiem przywiązaniem, z taką oględnością, jakiej tylko zahartowani żołnierze w obejściu z żonami używać umieją. Skarżyła się ciągle na niedogodności koczującego życia, jakie wojskowi prowadzić muszą, ale ktoż właściwie je ponosił w całem tego słowa znaczeniu? On, który miał staranie o wszystkiem!

Z nią i z dzieckiem obchodzono się podczas tych przeprowadzek jakby z najkosztowniejszemi sprzętami, których transport ze szczególną odbywano troskliwością.

— Ochraniaj się i uważaj na chłopca, mawiał jej zwykle, albo:

— Jest za gorąco, lub za zimno, mogłabyś zaziębić się; nie troszcz się o nic, spuść się we wszystkiem na mnie, o wszystkiem pamiętać będę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRZYJACIÓŁCE.

Gdybyś kryjówki mej duszy przejrzała,
Gdybyś uczuła boleść, co mnie gniecie,
Pewniebyś ze mną, droga, zapłakała,
A mnie weselej byłoby na świecie.

I ja nie znałabym życia goryczy,
Co mi przed czasem młodość moję struła,
O! jabym tylko ciche szczęście czuła,
Płynące z czystej miłości krynicy.

Nowe wśród świata widziałabym światy,
O jakich w słodkich marzeniach zaśniłam,
Czułej przyjaźni zbierałabym kwiaty,
Bo ja za niemi tak długo tęschniłam.

Ty mnie pojmujesz, o! moja wybrana,
Słyszysz gwałtowne mego serca bicie!...
Tak bardzo zbrzydło mi bez Ciebie życie,
Żem — choć tak młoda — już bólem złamana.

Helena.

Po minionem szczęściu.

(Fragment.)

Jam szczęścia szukała, o szczęściu marzyła,
I szczęście zabłysło przede mną!...
I jam się na chwilę swem szczęściem cieszyła,
A potem ujrzałam noc ciemną.

A kiedy po szczęściu noc ciemną ujrzałam,
Wszystko mi się w świecie zmieniło!...
I żyłam dla siebie i rzewnie płakałam
I lepiej ze łzami mi było.

. . . .

Kilka słów o Gogolu i jego powieści.

(Dokończenie.)

Na tem kończy się część pierwsza powieści. Wydrukowana, w swoim czasie narobiła bardzo wiele wrzawy. Tłumy oburzyły się na autora, bo ten i ów przejrzał się w zwierciedle. Wszyscy czytali jednak z szaloną ciekawością, jak to zazwyczaj się zdarza w podobnych razach.

Ludzie uczciwi, rozumni namawiali Gogola do napisania drugiej części, lecz pisarz ten, wedle własnych zeznań, doznał szczególnych wrażeń autorskich. Sam opowiada w „Listach do przyjaciol,“ że gdy czytał głośno swój utwor Puszkinowi, poeta z początku śmiał się, ale później zaczął posępnieć, chmurzyć się, a w końcu z ciężkiem westchnieniem wyrzekł: „Smutno jest u nas w Rosyi.“

Słowa te wstrząsnęły autorem i on doznał uczucia smutku, które następnie wzrastało, a w końcu zamieniło się w trwałą melancholię. Sam się przeraził tym obrazem rosyjskiego społeczeństwa; pisze, że wolałby usłyszeć zarzut, iż postacie jego są karykaturami, ale tego zarzutu nie usłyszał. Tysiące osób widziało paszkwil na siebie, słowem, ten i ów — powtarzamy — przejrzał się w zwierciedle. Dręczony Gogol smutkiem, wyjechał za granicę, tam jednak, w porównaniu z innemi społeczeństwami zachodu, ojczyzna wydała mu się jeszcze okropniejszą, choroba wzrastała. Napisał on drugą część, ale nie wykończył do druku, braknie w niej całych ustępów, ciągłość wypadków rwie się, niektórych rzeczy trzeba się domyślać tylko. Mimo to część ta ma także znakomitą wartość. Autor pragnął stworzyć typ obywatela ziemskiego taki, jakim wedle jego pojęć każdy „pamieszczik“ być powinien, a przyznać trzeba, że trudne to zadanie powiodło mu się także. Konstanty Skudronżogło nie jest morałem chodzącym, żyje, ma krew i kości, ale nie nudzi się, jak szwagier jego Płatanow, na wsi, ani nie przepędza czasu w oknie z fajeczką w ustach, jak sąsiad jego Tententnikow, tylko sam gospodaruje, sam dogląda robot w polu, z wełny owiec każe tkać sukna dla chłopów i rozseła postawy po jarmarkach, sieje lny, wyrabia płótno, z odpadków ryb, łowionych w jeziorze, suszonych, lub solonych na wywoz, gotuje klej. Nie ogląda się na zagranicę, ale śledzi na miejscu warunki i wedle nich stosuje postęp. Dla lepszego kontrastu Gogol odma-

lował także postępowicza, który wszystko urządził na zagraniczny sposób i najwyższy nieład zaprowadził w administracyi. Skudrońżogło nic bawi się w zakładanie szkół, ale sam uczy swoich mużyków obowiązków życia, poszanowania dla cnoty, pogardy dla leniwych, pijaków i wszelkiego występku. Uczy ich słowem żywem i własnym przykładem.

Przy schwytaniu Cziczikowa w matnię ponowną, wyszła na jaw deprawacya czynowników i sprawdziło się przysłowie, że kruk krukowi oczu nie wykole. Pomiędzy urzędnikami byli tacy, którzy z zasady występowali przeciw wyższym władzom, przygotowali z własnej inicyatywy ucieczkę więźniowi za pomocą przekupstwa.

Przeczytawszy książkę, trzeba mimowoli zawołać z Puszkinem: „Smutno jest w Rosyi!“ Nieprawość i zleniwienie ducha, oto dwa raki, toczące społeczeństwo, nie pozwalając iść mu z postępem. Stąd to nowe idee przybierają tam charakter swój właściwy, zgubny. Postępowość zamienia się w nihilizm, konserwatyzm w niewolnictwo, schlebiające carowi, bo braknie podkładu charakterów uczciwych, bezinteresownych, pragnących dobra ojczyzny.

Rosya nie ma ludzi, więc na nic nie przyda się wielkość obszarów, na nic się nie zda niepodległość polityczna; i najliberalniejsze reformy Aleksandra II-go nie przyniosły pożądanych owoców: wielka stąd dla nas nauka!...

A. M.

WYSPA GOTLAND.

Obrazek z podróży

ułożył

hrabia Wawrzyniec Benzelstjerna Engeström.

(Ciąg dalszy.)

Zupełnie w innym rodzaju są wysmukłe ośmiokątne dwie wieże siostrzane od strony wschodniej. — Lekkie to i strzeliste, wysoko ku niebu wybiegające ponad zakrystyą i chórem, jakby minaretowe strzały proroka, coś nakształt naszej Kamienieckiej meczetowej pamiątki, na której dziś *Boża stoi rodzica.*

Ale *gotlandzkie* te wieże o wiele są większe i okazalsze, bogatą rzeźbą kamienia i marmuru ubrane, stanowią niepospolitą swoją pięknością i lekkością jednę z najcenniejszych ozdób odwiecznego grodu *Gotlandyi.* Z wierzchołka wieży widok na to oryginalne miasto, najeżone ruinami majestatycznych kościołów, murów i baszt poważnych, przedstawia się tak wspaniale, iż słusznie, patrząc stąd na tę panoramę, ongi słynny *Linneusz* zamarłą mieścinę północną *maleńkim Rzymem* nazywał.

Bogactwa *Maryackiego* kościoła były bardzo słynne, mało bowiem świątyń poszczycić się mogło skarbami wszelkiego rodzaju, jakie tutaj w średnich wiekach nagromadzono. Dzieła sztuki, obrazy cenne, srebra, klejnoty, świadczyły o bogactwie i ofiarności pobożnych mieszkańców wyspy i licznych pielgrzymów, którzy tu przychodzili. Ciekawą pod tym względem jest stara, przechowana dotąd kronika miejscowa z 1420 roku, w której spisany jest obszerny inwentarz ruchomości kościelnych, przedstawiający zbiór nader imponujący, z którego niewiele już dzisiaj zostało. W wielkim ołtarzu pozostały jeszcze ślady dawnego przepychu, ale, niestety! ślady tylko, resztki niezgrabne ornamentów drewnianych, które górę zdobiły, wielki obraz szafowy w rodzaju słynnej roboty *Wita Stwosza* w naszej *krakowskiej świątyni Maryackiej.* Miał to być podobno prześliczny tego rodzaju ołtarz, przedstawiający sceny z życia *Najświętszej Panny,* sprowadzony przez *Lubeczan* z środkowych Niemiec, prawdopodobnie z *Norymbergii.* Piękny ten klejnot sztuki średniowiecznej sprzedano w roku 1683 do kościoła *Kellunge* w Szwecyi. Dziś w miejsce takiego klejnotu niesmaczny i wcale nieestetyczny ołtarz w tej ogromnej i poważnej świątyni razi, i, nie będąc na swojem miejscu, przybłędą się być wydaje.

Gdzieniegdzie spotykamy jeszcze jakieś szczątki dawnych bogactw, pamiątki katolickich czasów, które dotąd poszanowano i które świadczą, czem przed wiekami całość tego przyboru być mogła. Dla nas, przyzwyczajonych do naszych kościołów, do ich przystroju i ducha, wnętrza ogołocone świątyń protestanckich są zawsze przykre i robią wrażenie prawdziwej pustki, w której nie ma życia i nic do serca i wyobraźni przemówić nie może. Gołe to mury tylko! — Jak we wszystkich kościołach protestanckich, tak i tutaj, nie w kościele, lecz w zakrystyi — (w prawdziwej rupieciarni) złożone są bogate reszty pamiątek, rzeźb i obrazów, aparatów kościelnych, które jako archeologiczną ciekawość wartości muzealnej nam pokazują. Dawniej było tu tego daleko więcej, ale odkąd urządzono w *Wysby muzeum,* rupieciarnia zakrystyjna pozbyła się zbytecznego balastu, bogacąc zbiory zakładu narodowego.

Najwyraziściej wspomnienia przeszłości przedstawiają się jeszcze w posadzce kościelnej, która cała wyłożona jest rzeźbionemi płytami starych nagrobków, wśród których, z na pół zatartych rzeźb i napisów, ciekawe i długie możnaby robić poszukiwania.

Do ciekawości zaliczyć należy kilka pozostałych zabytków legendowych. I tak u jednego z filarów kościoła zawieszone są, jak u nas na *krakowskim Wawelu,* jakieś kości olbrzymie, o których ludowa legenda nam opowiada, że to mają być *żebra gigantki,* która znosiła skały do budowy *Maryackiego* kościoła i głównie do wzniesienia początkowych murów się przyczyniła. *Olbrzymka* ta bajeczna miała być także nawróconą poganką, półbogów córką, o jakiej nam *Tegner* śpiewa w prześlicznej legendzie kościoła *Lundzkiego* — o bajecznej „Gerdzie,“ którą nam w poemacie niedokończonym zostawił. Legenda tutajsza, na poły zatarta i zapomniana w szczegółach, nie doczekała się poematu, baśnią li gminną pozostając na wieki, wedle której olbrzymia ta wiedźma, obsługując budowę kościoła, przez długie lata wraz z murami jego rosła i olbrzymiała cudownie, a po jej zgonie w ofierze tutaj kości jej zawieszono, przed któremi w dobrej wierze stare baby *gotlandzkie* przez długie wieki nabożnie, jak przed relikwią, się pochylały. Długo rozprawiano o cudownych własnościach tego olbrzymiego szkieletu; dopiero *Linneusz,* zwiedzając kościół w roku 1744 i badając osobliwości przedhistoryczne *Gotlandyi,* doszedł, że to są napół skamieniałe i bardzo osobliwe szczątki szkieletu wieloryba, które prawdopodobnie jakiś prastary rybak zawiesił tutaj w ofierze. W innej stronie kościoła wisi u stropu szkielet zupełnie nieznanej ryby olbrzymiej, którą legenda *rybą Domeday* zowie. Podanie o tym mniemanym potworze powiada, że gdy kopano fundamenta kościelne głęboko w ziemi, ukazało się źródło, w którem znaleziono rybę cudowną, która miała głowę ludzką i wydawała głosy dziecięcia. Zawieszono ją w bocznej kaplicy na łańcuchu Odtąd urosło o niej podanie, a raczej przepowiednia, że gdy ten potwor z łańcucha po trzeci raz opadnie — będzie koniec świata; utrzymywano nawet, że ryba o dziecięcym głosie sama to o sobie przepowiedziała W starodawnej kronice *Gotlandzkiej Strelowa* zapisana jest poniekąd ta sama legenda. — *Strelow* opowiada, że w roku 1282, 28 lutego schwytano rzeczywiście ciekawą i nieznaną rybę — że potwor ten morski miał głowę lwią i głos do ludzkiego podobny, że zdawało się, iż płacze i krzyczy. — Rybacy tym nadnaturalnym połowem przerażeni zawiesili tego dziwotwora na chwałę Bogu w kościele, gdzie się aż dotąd przechował.

Linneusz robił także na tym szkielecie poszukiwania i ocenił, iż ryba ta jest rzadkim i mało znanym rodzajem tak zwanym *Piscis malacop terigius ecuda bifurca pinis dor-*

si duabus, o której dawne wspominają kroniki. Z dawnych legend kościelnych opowiadają tu także, że w podziemiach katedry odzywają się w dni świąteczne niektórych uroczystości *Najświętszej Panny* jakoby modlitewne głosy litanii — w samę północ śpiewane — że głos ten z grobowców dawnych głucho się wydobywa, a dzwon na wieży cichym mu dźwiękiem wtoruje. — W przeszłym wieku legenda ta była jeszcze pomiędzy ludem rozpowszechnioną do tego stopnia, że w żaden taki dzień świąteczny, którego dniem *pacierza umarłych* tu nazywano — niktby się nie był ważył wśród nocy progów stojącego ongi w ruinie kościoła przestąpić. Przesąd ten fantastyczny zatarł się dopiero z odbudowaniem kościoła, który na nowo otwarty i uświęcony przestał już być postrachem gminu — i dziś gdzieniegdzie tylko w powieści ludu z rozmaitemi dodatkami jest wspominany.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jak żywić dzieci,

napisał

Dr. Józef Koszutski.

(Ciąg dalszy. — Zob. Nr. 26.)

Dr. Bednar*) podzielił życie dziecka, ze względu na żywienie się jego, na trzy peryody, t. j. na karmienie piersią, odłączenie i na wiek dziecięcy. Nie godząc się na ów powszechnie przyjęty sposób nazywania o d ł ą c z e n i e m tych kilku dni na samo usunięcie niemowlęcia od piersi, lub niedopuszczenia go do niej zwykle przeznaczonych, życzy sobie, aby peryod drugi, o d ł ą c z e n i e, nadal jeszcze był uwzględnianym i trwał przez cały przeciąg czasu, upływający pomiędzy istotnem zaniechaniem piersi, a zupełnem wydobyciem się czterech ząbków ocznych, t. n. kłów. O d ł ą c z e n i e zatem powinno być uwzględnianem, począwszy od końca pierwszego roku życia aż do końca roku drugiego — zdaniem prof. Bednara — na co my także się godzimy zupełnie. Przez ten rok wymaga życie dziecka zupełnie odrębnego żywienia i w ogóle wielkiej troskliwości, gdyż odtąd kości i zmysły stosunkowo największemu ulegają rozwojowi.

By wzmocnić siły dziecka, są rodzice zbyt skłonni już to do częstego karmienia, już to do podawania mu pokarmów zbyt pożywnych, lub też w zbyt wielkiej ilości.

Odłączone dziecko nie powinno być karmionem o tych samych godzinach i wspólnie z dorosłemi osobami, a co ważniejsza, nie może ono dostawać tych samych potraw, co reszta rodziny. Jeśli dziecko przez przeciąg ten czasu ma rozwijać się dobrze i zupełnem cieszyć się zdrowiem, powinno mieć „w ł a s n ą k u c h n i ę,“ t. j. dostawać wyłącznie dla siebie zgotowane i ściśle do wątłych tylko jeszcze sił i funkcyi organicznych żołądka zastosowane potrawy. Pożywienie powinno tu p r z e w a ż n i e w płynnej postaci być podawanem, z dodatkiem znanych z łatwości trawienia, lub też umyślnie na czas ten wybranych pożywek.

Dzieci, karmione wspólnie z dorosłymi, rzadko kiedy jedzą spokojnie i zwykle napierają się tych potraw, które widzą u swych towarzyszy, pogardzają przeznaczonemi dla siebie przedmiotami, a niezaspokojone wedle swej woli, płaczem i gniewem kończą swe obiadki, lub kolacye. Że dzieciom tych samych potraw, które przeznaczonemi są dla dorosłych, podawać nie wolno, dowodzić tu nie potrzeba. Nawet i rosoł, gotowany z nieodpowiedniego mięsa, z włoszczyzną i t. n. korzeniami niezawodnym staje się powodem niepokoju i zaburzeń w całym przewodzie pokarmowym.

Dr. Bednar *) poleca za pożywienie dla odłączonego dziecka mleko, rosoły, gotowany móżdżek, mleczko cielęce, jajka na miękko, kotlety siekane cielęce, lub z młodego drobiu.

Z wyliczonych przezeń potraw przystajemy tylko na mleko, na rosół z cielęciny, gołębia, kurczęcia, (bez włoszczyzny, z wyjątkiem pietruszki i bez t. n. korzeni zgotowany!) wreszcie i na jaja kurze, lub perlicze na miękko, a w zamian za resztę polecamy kaszkę na wodzie, lub mleku, sucharki Petzolta, Opla i owę wybraną przez nas mąkę Neavego na mleku, nawet i z dodatkiem kakao, lub czokolady gotowanej.

Pod koniec drugiego roku dopiero dostawać może dziecko w południe gołąbka z rosołu, trochę cielęciny, lub kurczęcia z tegoż, wołowe mięso skrobane, surowe, lub trochę osmażone, tarte kartofle i małą ilość innych roślinnych potraw, jak spinak, szparagi, marchewkę tartą, marmoladę z śliwek, lub dojrzałych i słodkich jabłek i t. d.

Najmniej cztery, a najwięcej pięć razy i to, ile tylko można regularnie, przez przeciąg dnia całego podawane dziecku pożywienie pozwoli mu w tym peryodzie odłączenia rozwijać się swobodnie i cieszyć stałem zdrowiem. Przy tem żywieniu pozostać powinno aż do pojawienia się czwartej grupy zębów, t. n. kłów, które się pod koniec drugiego roku wyrzynają. Jest ich wszystkich cztery.

Za napój podawać zwykle radzimy dobrą wodę źródlaną z ciepłotą pokojową — a gdzie nietrudno o wodę z Bilinu (Biliner Sauerbrunnen) to tam nawet i dość obficie, tyle, ile dziecina sama zapragnie, z całym udzielić jej możemy spokojem. Wodę bilińską polecamy także zwykle jako dodatek do mleka zbyt tłustego — lub jako lek cenny podczas małych objawów niedokładnego trawienia, u dzieci się pojawiających. I herbata czarna, lekka, służyć może dziecku tak w tym ostatnim wypadku, jako też i za napój, mający ugasić mu pragnienie.

Tak napoje, jako i potrawy powinny być podawane odpowiednio ciepłe, nie za gorące, a drugie nie za słono, pieprzno, a co gorsza za kwaśno przyrządzone.

Dziecko ma mieć, ile się da, do jedzenia i picia własne naczynia i łyżeczki, jak najczyściej utrzymywane, a pokarm w usta jego powinien się dostawać bez mikroorganizmów chorobotwórczych i innych domieszek szkodliwych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Prof. dr. Bednar. Op. cit. Strona 66.

*) Op. cit. Strona 67.

KORESPONDENCYA „DOMU POLSKIEGO.“

Ze wsi, we wrześniu.

Otoż znowu powróciłam do swego wiejskiego zacisza, skąd też przesełam „Domowi polskiemu“ list ten drugi. Spędziłam kilka tygodni wśród uroczo pięknych Tatrów naszych, gdzie całą piersią czystem, wolnem oddychałam powietrzem; jeszcze dzisiaj brzmi mi w uszach śpiewny język góralski, przed oczyma duszy przesuwają się sielskie obrazy z życia tamtejszego ludu i zda mi się, że słyszę dźwięki narodowych hymnów, w czasie nabożeństwa niedzielnego śpiewanych!... I mimowoli myśl zwraca się w bolesną rzeczywistość, do smutnych, obecnych, wielkopolskich stosunków przechodzi. Przychodzi mi na myśl

biedna dziatwa nasza, tak zaniedbana w szkole pod względem nauki języka ojczystego. Więc niewolno nam rąk opuścić i z rezygnacyą poddać się losowi, ale pracować i działać niestrudzenie w przeciwnym kierunku; potrzeba nam ratować tę zagrożoną dziatwę, póki w nas samych polskie serca biją.

Nam, mieszkańcom wsi, łatwiej pod pewnym względem uczynić zadość tym, względem ubogiej, szkolnej dziatwy na sumieniu ciężącym nam obowiązkom — to też uczyńmy dla niej, ile w naszej mocy, nie zrażając się bynajmniej trudnościami i walką z nieprzyjaznemi pracy i usiłowaniom naszym żywiołami. Niewolno nam wprawdzie otworzyć osobnej dla nauki ojczystego języka szkółki, a nawet zbieranie liczniejszej gromadki o pewnych godzinach jest zakazanem, ale na wszystko złe wynaleźć należy sposób, aby zapobiedz najgorszemu.

Na wsi jest tyle dzieci różnego wieku, że niemożebnem byłoby jednej osobie objąć nad niemi ścisły dozor i dopilnować nauki. Takie brzemie obowiązków byłoby nad siły dla naszych pań, a w szczególności dla naszych wielkopolskich panienek, pozwólcie przeto, Łaskawe Czytelniczki, że przedstawię wam tutaj plan łatwy i dogodny, a — jak się sama przekonałam — niezupełnie bezskuteczny.

Otoż, zakupiwszy większą ilość elementarzy, rozrzućmy je po wszystkich chatach wiejskich, rozdając zarazem mniejszym dzieciom tabliczki, a większym zeszyty. Niech wręczenie tych skromnych podarków odbędzie się z pewną powagą uroczystości, mającej charakter narodowy. Nakłaniając przy tej sposobności dziatwę do pilnego i gorliwego uczenia się ojczystego języka, starajmy się jednocześnie przekonać rodziców, że obowiązkiem ich sumienia jest doglądać i pilnować w tym względzie swych dzieci, rozbudzać w ich sercach uczucie miłości ojczyzny, zaszczepiać je i pielęgnować. Ogólny, główny nadzor przyjmijmy jednakże na siebie same, zaglądajmy do mieszkań rodziców i dzieci, do ich książek i zeszytów, examinujmy je od czasu do czasu, by się o ich postępach przekonać. Postarajmy się przede wszystkiem, aby każde dziecko nauczyło się bez błędu, poprawnie swe własne imie i nazwisko podpisać, by te w przyszłości nie uległy zmianie, zależnej od fantazyi i humoru naszych najserdeczniejszych.

Dni coraz krótsze, zbliża się dżdżysta jesień z swemi dlugiemi wieczorami, które możemy spędzić bardzo użytecznie, pouczając biedną dziatwę w mowie rodzinnej. Nagrodą za poniesione trudy będzie nam przekonanie, żeśmy od największego złego, bo od wynarodowienia uchronili te całe maluczkich zastępy.

Wielkopolanka.

Wydawnictwa wielkopolskie

(Ciąg dalszy.)

— **Podręcznik do pisania listów,** w którym wyłożona jasno i treściwie nauka o pisaniu listów, oraz podane liczne wzory tychże, jako też kwity, rewersy, rachunki, przepisy pocztowe, wpisy do imienników i t. d. z dodatkiem dla dzieci. Opracował Józef Chociszewski. (Poznań, nakł. autora 1888 r.)

We wstępie p. n. „Słówko o ważności listów" wykazuje Autor znaczenie listów, dowodząc przykładami, że nieraz od jednego dobrze napisanego listu cała przyszłość zawisła. Ważną bardzo rolę odgrywają listy w stosunkach handlowych i przemysłowych. Chcąc poprawnie listy pisać, trzeba się uczyć je pisać, ćwiczyć się w ich pisaniu. Dzielnym ku temu środkiem są tak zwane „Listowniki," uczące właśnie pisania listów i podające odpowiednie wzory. W rozdziale I: „Krótka nauka o pisaniu listów," jest mowa o zewnętrznej stronie listów; między innemi zwraca tu Autor słusznie uwagę piszącym, aby adres wypisywali wielkiemi, czytelnemi głoskami, gdyż inaczej może list długo błądzić, lub wcale nie dojść do miejsca swego przeznaczenia. W „Ogólnych uwagach o pisaniu listów" poucza Autor, jak trzeba w listach przestrzegać szacunku i grzeczności, unikać niestosownych wyrażeń więcej jeszcze, aniżeli w rozmowie, gdyż „słowo ulatuje, a pismo zostaje." Dalsze rozdziały zawierają: Najważniejsze przepisy pocztowe; o tytułach w listach; dalej znajdują się wzory listów najrozmaitszej treści, jako to: listy, zawierające prośby, listy z powinszowaniami do rozmaitych osób, listy dziękczynne i przepraszające, listy dzieci do rodziców od najmłodszego wieku, zatem zaledwie rozpoczynających naukę pisania, listy dzieci do dzieci; listy pocieszające; listy przemysłowo-handlowe; bilety, karty korespondencyjne, krótkie listy, kwity, rewersy, wreszcie zamieścił tu Autor z wielką — zdaniem naszem — dla czytelników korzyścią owe znane, ale niedość rozpowszechnione piękne listy brata i siostry o języku polskim Klementyny z Tańskich Hofmanowej. Książkę kończą „Wpisy imionnikowe, wiersze na pamiątkę i złote myśli z pism polskich pisarzy," obejmujące 100 umiejętnie wybranych, pięknych ustępów wierszem i prozą, zdatnych do albumów, imienników, pamiętników powszechnych tak między młodzieżą, jak starszemi osobami, wykształconemi, jako też mniej i mało nauki i wiedzy posiadającemi. Dla tych ostatnich mianowicie winien być ów zbiór zdań wierszem i prozą bardzo cennym nabytkiem, gdyż zamiast błądzić w labiryncie dzieł nieznanych sobie autorów i szukać odpowiednich swym potrzebom i pragnieniom myśli wśród nieznanych, nieczytanych ich utworów, przystępują do gotowego już wyboru.

Osoby, mniej z piórem, więcej z inną pracą mające do czynienia, istotnie wiele skorzystać mogą z „Podręcznika," któremu też życzymy z całego serca powodzenia; a wiedząc, że książki podobne zawsze chętnych znajdują nabywców, nie wątpimy o rezultacie tej skrzętnej i umiejętnej pracy Autora.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaitości.

Zasady filozofii i moralności budyjskiej według kanonu szkoły południowej, zebrane przez H. S. Olcotta, przełożone na język polski przez W. Z. (Warszawa 1888 r. str. 59). Jest to rodzaj katechizmu budyjskiego w streszczeniu, który pan W. Z. dla tego na język polski przetłomaczył, ponieważ, jak sam się wyraża, budyzm ze wszystkich religii najmniej jest znanym w Europie. Zdaje się, że tłomacz zapomniał o znakomitem dziełku naszego historyka, Joachima Lelewela, który daleko obszerniej od Olcotta w swoich „Dziejach starożytnych Indyi" skreślił zasady i losy budyzmu, obejmując nawet wszelkie wyznania tego odcienia i zmiany. Książka Olcotta — jak słusznie twierdzi pewien jej krytyk — napisana jest raczej dla zawracania głów Europejczykom, aniżeli dla ludności budyjskiej Cejlonu.

W jednym z ostatnich numerów niemieckiego literackiego organu: „Das Magazin für die Literatur d. In- u. Auslandes," znajduje się pochlebna krytyka dzieła Piotra Chmielowskiego o Kraszewskim.

Komedya M. Bałuckiego p. t. „Po śmierci cioci" wystawiona została w tłomaczeniu Ernesta Schwab-Polabskiego w narodowym teatrze w Pradze.

Ostatni numer literackiego organu, wydawanego staraniem Stowarzyszenia dawnych uczniów szkoły polskiej w Paryżu p. t. „Bulletin polonais" zawiera: 1. L'historiographie polonaise de 1861 à 1886 et la critique russe. (Historyografia polska a krytyka rosyjska). J. Jasie-

wicz 2. Varsovie, impression de voyage (Warszawa, wrażenia z podróży). W. Gasztowtt. 3. Kunda la bergère. Dokończenie. (Kunda pasterka.) Michał Bałucki 4. Les populations slaves de l'Allemagne. (Ludność słowiańska w Niemczech) J. J. 5. Les Tsiganes de Pologne. (Cyganie w Polsce). 6. Nouvelles littéraires, scientifiques et artistiques, variétes. (Wiadomości literackie, naukowe, artystyczne, rozmaitości). 7. Nécrologie. (Nekrologia).

Szanownym Czytelnikom naszym polecamy gorąco „Bulletin polonais.“ Można go abonować pod adresem: Msgr. Rudnicki, Administrateur du „Bulletin polonais.“ Paris. 15, rue Lamandé. Prenumerata roczna wynosi 5 franków.

Karol Gounod ułożył nowe „Te Deum“ na organy, głosy solowe, chóry i harfy. W wykonaniu całości weźmie udział dwustu śpiewaków.

Nową operę Armanda Raynaud, ułożoną podług zmienionego nieco textu „Króla Leara,“ wystawiono z wielkiem powodzeniem w Tuluzie.

Opera Rubinsteina, „Demon,“ grana dotąd w Hamburgu, ma być wystawioną w krótce w Wiedniu i Petersburgu.

Pomiędzy Daudetem a Zolą — jak donosi „Echo muzyczne“ — toczy się spór z powodu ostatniego romansu Daudeta, „Nieśmiertelny.“ Autor jego, bojąc się, aby go nie posądzono o stronniczość i osobistą urazę, oświadczył publicznie, że nie starał się nigdy o zajęcie miejsca w gronie „nieśmiertelnych“ i nie przyjąłby nawet tego zaszczytu, choćby mu go ofiarowano. Zola zaś, ów nieprzyjaciel form i konwenansów, ogłosił, że on — przeciwnie — pragnąłby przybrać się w zielony frak ze złotemi haftami, gdyż strój ten, stanowiący niejako sankcyą w oczach tłumów, nadałby powagę jego teoryom i posunął naprzód sprawę naturalizmu. Autor „Nany“ otrzymał w ostatnim czasie zaszczytny krzyż legii honorowej, który — zdaje się — obudził w nim pragnienie najwyższych dostojeństw. Sardou z powodu tego sporu nader ironicznie wyraził się o autorach „Nieśmiertelnego“ i „Nany.“ Oświadczył on wprost, że Zola kompromituje się niepotrzebnie, gdyż musiałby długim szeregiem dzieł wyrzec się i kazać zapomnieć o „naturalistycznych“ opisach, zanimby je strawiła „akademia.“

„Co zaś się tyczy Daudeta, wyraża się złośliwie dramaturg francuzki, posiada on jedną tylko zaciętą nieprzyjaciołkę; nie jest nią jednak akademia, lecz.... gramatyka!“

O Sarze Bernard piszą paryzkie dzienniki, że stała się łupem komorników. Wystawiono na sprzedaż wszystkie jej sprzęty, ulubioną małpę, a nawet owę słynną trumnę, w której sypiała. Część tylko jej garderoby ocalił *impressario* Gau, oświadczywszy, że jest jego własnością, gdyż mu ją ar ystka podarowała. Sara Bernard według prawa nie posiada chwilowo nic, bo nawet ubior, jaki na sobie nosi, nie należy do niej.

Promyki.

Miło żyć cicho i swobodnie w gniazdku, które wszelkiem usiłowaniem usłaliśmy sobie puchem; ale żyć cicho i swobodnie to nie dział chrześcianina — jemu iść coraz wyżej a wyżej skalistą ścieżką.

Często fałszywie sądzimy o przyjaźni dla tego, że chcemy raczej, aby nas kochano, niż, abyśmy kochali. — Treścią przyjaźni nie jest uczuciowość, lecz poświęcenie, bezinteresowność, wyrzeczenie się, zapomnienie o sobie dla ukochanej istoty.

Serce samolubne chce być kochane — chrześciańskie serce pragnie kochać choć bez wzajemności.

Nadzieja jest, jak słońce, co kwiaty zabarwia; odbierz kwiatom słońce, a uwiędną i zbledną, odbierz człowiekowi nadzieję — to serce więdnie i skrzydła duszy opadają.

Ach! lepiej nie znać sennej pociechy, niż chwilę zbudzenia znać.

LISTKI.

Pani Julii D. w Grąziowej: Przepraszamy tysiącznie za długie milczenie; list obszerny, jaki wkrótce wyślemy, wytłomaczy wszystko. Żądane numera wysełaliśmy kilkakrotnie; widać, iż zaginęły na pocztach galicyjskich. Raz jeszcze wyślemy je razem z listem.

„Satyrowi“ w L.: Zgadzamy się zupełnie na uwagi o „psach wściekłych“ i „jadowitych gadzinach,“ ale ich drukować nie możemy. Ubliżylibyśmy pismu, dotykając osobistości — zostawmy „potwory“ ich własnemu losowi, zajmować się niemi niewarto; prędzej czy później dosięgnie „nikczemnych“ karząca ręka sprawiedliwości. — Za pamięć o „Domu“ serdecznie dziękujemy. Satyry, karcące zdrożności w ogóle, w jakiejbądź formie, wierszem czy prozą — chętnie i z wdzięcznością przyjmiemy.

Panu Witalisowi: Obrazki prozą — jakkolwiek zbyt pobieżnie naszkicowane — dla zachęcenia Autora zamieścimy po ukończeniu „Willi Erlach;“ próbek poetycznych drukować nie możemy, dla czego? — odpowiemy listownie.

Od redakcyi.

Dzisiajszy numer jest ostatnim w bieżącym kwartale, prosimy przeto serdecznie i usilnie Szan. Czytelników i Czytelniczki nasze o wytrwanie w życzliwem popieraniu „Domu polskiego“ i jednanie mu nowych przyjacioł, współpracowników i przedpłacicieli.

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.